

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



KRÓLESTWO KOŚCI

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE KINGDOM OF BONES

Copyright © James Czajkowski 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Cezary Frąc 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Prowincja Kasai, Wolne Państwo Kongo

14 października 1894

Wielebny William Sheppard odmawiał bezgłośnie Modlitwę Pańską, czekając, aż kanibal skończy szlifowanie zębów. Kucający przy ognisku mężczyzna z plemienia Basongye trzymał w jednej ręce pilnik, a w drugiej lusterko. Gdy skończył ostrzenie siekacza, z podziwem uśmiechnął się do swojego odbicia i wstał.

Miał niemal dwa metry wzrostu, górował więc nad Sheppardem. Był elegancko ubrany – miał długie spodnie, koszulę i wyglansowane buty – jak koledzy Shepparda z Południowego Prezbiteriańskiego Seminarium Teologicznego dla Kolorowych w Tuscaloosie. Tyle że zgodnie z tradycją plemienia kanibali zgolił brwi i wyskubał rzęsy. Wyglądał dość przerażająco, zwłaszcza gdy pokazywał w uśmiechu zęby jak u rekina.

Sheppard pocił się w białym płóciennym garniturze z krawatem i nieodzownym hełmie korkowym. Musiał zdrzeć głowę, żeby spojrzeć na twarz wodza Zappo Zapów. Mężczyźni tego wojowniczego plemienia sprzymierzyli się z belgijskimi wojskami kolonialnymi, co w praktyce oznaczało, że byli najemnikami króla Leopolda. Nawzajem zawdzięczali broni, którą się posługiwali: żelaznym toporom nzappa zap. Patrząc na długi karabin wiszący na ramieniu kanibala, Sheppard zastanawiał się, ilu niewinnych ludzi zginęło od tej broni.

Pierwszym, co przykuło jego uwagę po wejściu do wioski, były dziesiątki zwłok oblepionych przez muchy. Stosy osmalonych kości wskazywały na to, że wcześniej zjedzono wiele ciał. W pobliżu jakiś mężczyzna wycinał właśnie płat świeżego mięsa z odrąbanego uda. Inny związał liście tytoniu w pustej czaszce. Kilku kanibali otaczało ognisko, wędząc odcięte dłonie nabite na bambusowe tyczki.

Wielebny nie szczędził starań, by zignorować to, co atakowało jego zmysły. W powietrzu brzęczały chmary czarnych much. Do jego nozdrzy wdzierał się smród spalonego mięsa. Żeby powstrzymać wymioty, skupił spojrzenie na kanibalu. Protestowanie czy okazywanie słabości nie pomogłoby jego sprawie.

– M'lumba, muszę pomówić z kapitanem Deprezem – zaczął powoli, bo wiedział, że kanibal zna angielski i francuski, ale nie jest biegły w żadnym z tych języków. – To niezwykle ważne.

M'lumba wzruszył ramionami.

– Nie ma go tu – rzucił. – Odszedł.

– A co z Collardem i Remym?

Mężczyzna ponownie wzruszył ramionami i jego twarz spochmurniała.

– Odeszli z *capitaine*.

Sheppard zmarszczył czoło. Służący w belgijskim wojsku Deprez, Collard i Remy przewodzili Zappo Zapom w tym regionie. Poznał ich po założeniu chrześcijańskiej misji na brzegu rzeki Kasai, dopływu Konga. Zdumiało go, że są nieobecni w czasie, gdy powinni pobrać podatek kauczukowy, choć nawet gdyby tu byli, pewnie nie położyliby kresu popełnianym tu okrucieństwom. Wręcz przeciwnie – zachęcaliby do brutalności. Deprez nosił spleciony ze skóry hipopotama bicz, którym przy najmniejszym nieposłuszeństwie rdzennych mieszkańców zdzierał z nich skórę. Przez ostatnie kilka miesięcy prowadził grupę kanibali wzdłuż rzeki Kasai, szerząc terror w kolejnych wioskach i nieubłaganie kierując się na północ.

Właśnie dlatego Sheppard opuścił swoją misję w Ibanj i próbował ich odnaleźć. Król plemienia Kuba przysłał do niego emisariusza z błaganiem, by powstrzymał morderczych Zappo Zapów przed wkroczeniem na jego terytorium. Wielebny nie mógł mu odmówić. Był pierwszym cudzoziemcem, któremu dwa lata wcześniej pozwolono wejść do królestwa Kuba, przede wszystkim dzięki temu, że poświęcił dużo czasu na naukę tamtejszego języka. Kiedy dowiedział swojej biegłości w nim, przyjęto go przychylnie na dworze królewskim. Przekonał się, że członkowie plemienia Kuba są uczciwi i pracowici, choć wierzyli w czary i mieli króla, który posiadał siedemset żon. Nie udało mu się wprawdzie nawrócić żadnego z nich, ale i tak uważał ich za wspaniałych sprzymierzeńców w tym wrogim regionie.

Teraz potrzebują mojej pomocy, pomyślał.

Musi przynajmniej przedstawić sprawę Deprezowi, spróbować przekonać belgijskiego kapitana, by oszczędził cierpienie temu ludowi.

– Gdzie udali się Deprez i pozostali? – zapytał.

M'lumba skierował wzrok na wschód, nad posępne wody Kasai. Zaklął w bantu i splunął w tamtą stronę.

– Mówiłem im, żeby nie szli – powiedział. – To *alaaniwe*.

Sheppard znał to słowo – w bantu oznaczało „przeklęty” – i wiedział, jak głęboko wśród miejscowych plemion są zakorzenione przesady. Rdzenni mieszkańcy wierzyli w duchy i zjawy, w zaklęcia i magię. Teraz zdawał już sobie sprawę, że przedarcie się przez tę zasłonę pogańskich wierzeń i zastąpienie jej jasnym słowem Pana jest chyba niemożliwe. Mimo to nie oszczędził starań; próbował nawracać tych ludzi, a jednocześnie – wyposażony w Biblię i aparat fotograficzny Kodaka – dokumentował popełniane tu przerażające zbrodnie.

Sfrustrowany, ściągnął brwi. Domyślał się, że tylko coś bardzo ważnego mogło skłonić trzech Belgów do oddalenia się od rzeki.

– M'lumba, dlaczego Deprez i pozostali odeszli? Czego szukają?

– *Pango* – mruknął kanibal. To słowo oznaczało „jaskinię”.
Z gniewnym grymasem zaczął udawać, że kopie łopatą ziemię.

Sheppard zmrużył oczy i po chwili zrozumiał.

– Chodzi ci o kopalnię? – spytał.

M'lumba skinął głową.

– *Oui*. Kopalnia. Złe miejsce. *Mfupa Ufalme*.

Królestwo Kości, przetłumaczył w myślach wielebny i spojrział za rzekę.

Choć ta nazwa brzmiała złowroźnie, nie przywiązał do niej większej wagi. Wiedział, że w dżungli jest wiele niezbadanych miejsc. Sam odkrył jezioro i z tej okazji brytyjskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne poprosiło go, by za kilka miesięcy opowiedział w Londynie o swoim dokonaniu. Jeszcze bardziej powszechne niż przesady były wśród rdzennych mieszkańców pogłoski o zaginionych skarbach i ukrytych królestwach. Takie opowieści doprowadziły wielu ludzi do zguby.

Może także tych trzech belgijskich wojskowych.

– Dlaczego szukają tej kopalni? Co mają nadzieję w niej znaleźć?

M'lumba odwrócił się i przywołał starszego mężczyznę o twarzy pokrytej tatuażami, które wskazywały, że jest *mganga*, czyli szamanem. Zappo Zapowie nigdzie nie ruszali się bez szamanów, bo ci pomagali odpierać *visuka* i *roho*, mściwe duchy tych, których zamordowali.

Pomarszczony starzec podszedł do nich. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową i naszyjniki z amuletami z kości i drewna. Jego usta były tłuste po niedawnej uczcie. M'lumba zwrócił się do niego w dialekcie plemienia Basongye, którego Sheppard nie znał.

Szaman skrzywił się, przez chwilę przesuwając między palcami amulety, po czym zdjął z szyi uplecioną pętlę. Zwisiał z niej metalowy krążek nie większy niż paznokiec. Starzec rzucił go M'lumbie, a ten podał Sheppardowi.

– Znalazł to *capitaine* Deprez – wyjaśnił. – Na szyi *mganga* z innej wioski. *Capitaine* wali go biczem, żeby mówić. Krzyki dwa noce. A potem *mganga* mówi mu, skąd to ma.

– Z Mfupa Ufalme – mruknął Sheppard. Z Królestwa Kości.

M'lumba skinął głową z gniewnym grymasem, wyraźnie na coś zły.

Wielebny obejrzał krążek, który wyglądał jak moneta, poczerniała za starości, przewiercona przez środek i zawieszona na kawałku sznurka. Jedna strona była wystarczająco wytarta, by odsłonić złoty połysk.

Ogarnęła go rozpacz.

Nic dziwnego, że Deprez był taki brutalny.

Dla tak zdeprawowanego człowieka perspektywa zdobycia złota musiała być bardziej ponętna niż każda ilość kości słoniowej czy kauczuku. Ze wszystkich pogłosek o tajemnych miastach i skarbach ukrytych w dżungli żadna nie podsycala żądzy chciwych ludzi bardziej niż opowieści o zaginionym złocie. Poszukiwacze od wieków przeczesywali dżungle w pogoni za takimi skarbami. Legendy mówiły o kopalniach założonych przez zaginione legiony rzymskie, a nawet przez starotestamentowe wojska króla Salomona.

Sheppard westchnął ciężko. Wiedział, jak wielu śmiałków zginęło w trakcie ryzykanckich poszukiwań. Nagle w blasku słońca mignęło coś na drugiej stronie monety. Wielebny podniósł ją i przechylił, by przyjrzeć się niewyraźnemu napisowi. Zmrużył oczy, a potem, zszokowany, otworzył je szeroko. Dla pewności przetarł monetę i dwa słowa po łacinie stały się wyraźniejsze.

Presbyter Iohannes.

Ścisnął ją mocniej.

Niemożliwe.

Chociaż słowa były po łacinie, wiedział, że moneta nie została wybita przez rzymski legion. I że nie była zrobiona ze złota wydobytego przez wojska króla Salomona. Napis wskazywał na inną historię, równie fantastyczną jak tamte.

– Prezbiter Jan – mruknął Sheppard.

Podczas studiów teologicznych dowiedział się o budzącym re-spekt chrześcijańskim kapłanie – królu Afryki. Według relacji sięga-jącej XII wieku Prezbiter Jan przez prawie sto lat władał starożytną Etiopią. Powiadano, że jest potomkiem Baltazara, czarnego mędrca, jednego z Trzech Króli, którzy odwiedzili Dzieciątka Jezus w stajen-ce. Wierzono, że królestwo Prezbitera Jana jest niebotycznie bogate i skrywa tajemną wiedzę. Legendy wiązały go nawet ze źródłem mło-dości i zaginioną Arką Przymierza. Przez wiele stuleci europejscy władcy szukali śladów Prezbitera Jana. Emisariusze, których wysyła-li, nie wracali z dżungli. Nawet Szekspir wspominał w *Wiele hałasu o nic* o zaginionym afrykańskim patriarsze.

Większość współczesnych historyków odrzuciła jednak tę opo-wieść o czarnym chrześcijańskim królu, który rządził rozległymi ob-szarami Afryki, i uznała ją za mit.

Sheppard wpatrywał się w imię wypisane w złocie. Chciał z бага-telizować to, co trzymał w palcach, uznać za fałszerstwo. Lecz jako syn niewolnika nie mógł tego zrobić. Poczul nić pokrewieństwa z tą legendą, z czarnym chrześcijaninem sprzed wieków.

Przecież w każdej legendzie może się skrywać ziarno prawdy.

Podczas gdy kapitana Depreza zwabiła do dżungli obietnica zło-ta, wielbny nie mógł zlekceważyć własnego pragnienia – nie bogac-twa, ale historii, która mogła się kryć za monetą.

Opuścił rękę i spojrzał na M'lumbę.

– Kiedy odeszli Deprez i pozostali? – spytał.

Kanibal pokręcił głową.

– Dwanaście dni. Zabrać dwadzieścia ludzi. – Wyraźnie zagnie-wany, odsłonił ostre zęby. – I mój brat, Nzare. Mówię mu, żeby nie idzie. Ale *capitaine* mu każe.

Sheppard odgadł, że to jest przyczyną jego gniewu, i dostrzegł swoją szansę.

– Zróbmy *mkataba* – zaproponował. – Pakt między nami.

M'lumba niepewnie unióś wygolone brwi.

– *Nini mkataba?*

Wielebny położył dłoń na sercu.

– Pójdę do Mfupa Ufalme i sprowadzę twojego brata, ale pod warunkiem, że przysięgniesz, że ty i twoi ludzie zostanieie tutaj i nie pójdziecie dalej na ziemie Kuba.

M'lumba wpatrywał się w ruiny wioski, rozważając tę ofertę.

– Daj mi trzy tygodnie – poprosił Sheppard.

Kanibal się skrzywił.

Sheppard czekał na odpowiedź. Kilka tygodni pozwoliłyby ludowi Kuba na ucieczkę i ukrycie się w dżungli. Modlił się, by jego propozycja uchroniła tych pięćdziesiąt tysięcy dusz przed barbarzyństwem, do jakiego doszło w tej wiosce.

M'lumba w końcu unióś trzy palce.

– *Tatu* tygodnie. Zostaniemy. – Spojrzał na rozrzucone ciała. – Znowu będę głodny.

Wielebny zapanował nad dreszczem odrazy, wywołanym przez ostatnie słowa kanibala. Przywołał w pamięci zadbane ulice królewskiej wsi Kuba i stojące w niej naturalnej wielkości posągi dawnych królów. Słyszał rozlegający się tam śmiech kobiet i dzieci. Wyobraził sobie, że te radosne dźwięki zastępuje krzyk, a czyste uliczki spływają krwią.

Popatrzył nad rzeką Kasai na ciemną dżunglę. Nie miał pojęcia, czy jest tam zaginiona kopalnia złota. Wątpił nawet w prawdziwość tego, co było napisane na monecie. I zdecydowanie nie wierzył w stare klątwy związane z Królestwem Kości.

Swąd spalonego mięsa przypomniał mu o tym, co wiedział na pewno.

Nie wolno mi ich zawieść.

1

Prowincja Tshopo, Demokratyczna Republika Konga
23 kwietnia, godzina 7.23 czasu miejscowego

Ostre ukłucie przywołało Charlotte Girard do brutalnej rzeczywistości. Śniła, że pływa nago w orzeźwiająco zimnym basenie w wiejskiej posiadłości swojej rodziny na Lazurowym Wybrzeżu. Klepnęła się w szyję i gwałtownie usiadła w namiocie, w którym było gorąco i parno. Wilgotne powietrze wydawało się gęste. Poczowała kolejne ukłucie na grzbiecie drugiej dłoni i odruchowo potrząsając ręką, wplątała ją w moskitierę.

Zakłęła po francusku i uwolniła dłoń. Rozglądając się za winowajcą, spodziewała się zobaczyć jedną z czarnych much, które nękały obóz pomocy humanitarnej działający pod auspicjami ONZ-etu. Tymczasem ujrzała na nadgarstku czerwono-czarną mrówkę – długą jak paznokiec – z żuwaczkami głęboko wbitymi w ciało.

Przerażona, strzepnęła ją drugą ręką. Owad wylądował na moskitierze i powędrował w górę. Charlotte z łomoczącym sercem odsunęła siatkę. Po podłodze tej części namiotu, w której spała, dreptały szereg mrówek, a inne zygzakami wspinały się po ścianach.

Skąd one się tu wzięły?

Zanim włożyła sandały, strąciła z nich kilka zabłąkanych owadów, a następnie ruszyła po tej żywej mapie na podłodze. Na

szczęście była już ubrana; miała na sobie niebieski kombinezon i białą kamizelkę.

Zerknęła na swoje odbicie w stojącym lustrze. Drgnęła z przerażenia na widok własnej twarzy. Dobięgała trzydziestki, a wyglądała przynajmniej o dziesięć lat starzej. Praktyczny kucyk, w który związała hebanowe włosy, przekrzywił się, gdy spała. Oczy wciąż były podpuchnięte i matowe ze zmęczenia. Skóra łuszczyła się po dniach spędzonych na słońcu. Jej dermatolog z Montmartre przeraziłby się, ale tutaj, w afrykańskim buszu, nie miała czasu na takie subtelnosci jak drogie filtry przeciwsłoneczne i mleczka nawilżające.

Położyła się do łóżka – a raczej na nie padła – kompletnie wyczerpana, dobrze po północy. Była najmłodsza w czteroosobowym zespole medycznym z organizacji Médecins Sans Frontières, Lekarze bez Granic. Brakowało im personelu, a do obozu napływało coraz więcej uchodźców, gdy padający niemal bez przerwy deszcz zalewał dżungle na wschodzie.

Osiem dni temu przyleciała tu śmigłowcem z miasta Kisangani, gdzie pomagała UNICEF-owi w programie Zdrowe Wioski. W obozie szybko poczuła się przytłoczona. Dopiero dwa lata temu ukończyła rezydenturę z pediatrii na USPC – Université Sorbonne-Paris-Cité – i zdecydowana zrobić coś dla innych, złożyła wnioszek o roczny staż w MSF. Wtedy wydawało jej się to wielką przygodą i była zdecydowana ją przeżyć, zanim pogąrzy się w rutynie pracy w szpitalu. Poza tym w dzieciństwie mieszkała w Brazzaville, stolicy państwa Kongo, sąsiadującego z Demokratyczną Republiką Konga, i potem zawsze chciała wrócić do Afryki Środkowej. Jej wyidealizowany obraz Konga odbiegał jednak bardzo od rzeczywistości. Młone lata nie przygotowały jej na trudy życia w takim miejscu.

Na przykład na to, że wszystko tutaj próbuje cię zjeść, uządlić, otruć albo oszukać.

Odchyliła klapę namiotu i wyszła na zewnątrz. Przez chmury przebijało się słońce poranka, zmrużyła więc oczy i osłoniła je dłonią.

Po prawej stronie stały kryte strzechą chaty i chałupy z blaszanymi dachami. Płynąca w pobliżu wezbrana rzeka Tshopo zmiotła wiele domostw. Po lewej stronie ciągnęły się namioty i prowizoryczne szopy. Zajmowali je uchodźcy z innych wiosek, zmuszeni do ucieczki przed podnoszącą się wodą.

W i tak już przeludnionym obozie codziennie pojawiali się kolejni.

Zapach dymu z kilkudziesięciu ognisk nie tłumił smrodu otwartych ścieków. Przybywało chorych na cholere, a zespołowi medycznemu kończyły się płyny infuzyjne i doksycyklina. Wczoraj Charlotte zajmowała się kilkunastoma osobami chorymi na malarię.

Nie był to sielankowy świat przyrody, jaki wyobrażała sobie w Paryżu.

Jakby na potwierdzenie tego w oddali zadudnił złowieszco grzmot. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy burze przetaczały się przez ten obszar, zalewając tereny nawet w porze suchej podmokłe. Były to najgorsze opady od ponad wieku i prognozy pogody nie wróżyły dobrze. Wody powodziowe zagrażały środkowym regionom Demokratycznej Republiki Konga, a korupcja i biurokracja spowalniały pomoc humanitarną. Charlotte modliła się, żeby ONZ nie zwlekał z kolejną dostawą zaopatrzenia medycznego, bo sytuacja stawała się tragiczna.

Idąc w stronę namiotu medycznego, zobaczyła, jak mała dziewczynka kuca i oddaje wodnisty stolec. Dziewczynka zaczęła krzyczeć z bólu, bo mrówki oblażyły jej bosc stopy i wspinały się wyżej. Jakaś kobieta, pewnie matka, podniosła ją za ramię i zaczęła strzepywać z niej owady.

Charlotte podbiegła do nich, pomogła usunąć mrówki z ciała dziewczynki, po czym wskazała namiot, w którym mieściła się obozowa przychodnia. Znała niewiele słów w suahili.

– *Dawa* – powiedziała, prowadząc kobietę i dziecko. – Twoja córka potrzebuje lekarstwa.

Odwodnienie – spowodowane cholerą czy tysiącem innych przyczyn – może zabić dziecko w niespełna dzień.

– *Kuza, kuza* – ponagliła, ciągnąc kobietę.

Wszędzie wokół kręcili się uchodźcy. Wielu zaopatrzyło się w miotły z liści palmowych i walczyło z nacierającą hordą mrówek. Mężczyzna z plemienia Luba zamiatał ścieżkę, przesuwając się w stronę namiotu medycznego. Podążając za nim, bezpiecznie dotarli pod plandekę rozpiętą nad wejściem. Z wnętrza namiotu dochodził zapach środka dezynfekującego i jodu i na chwilę stłumił smród obozu.

Cort Jameson, siwowłosy pediatra z Nowego Jorku, zauważył Charlotte.

– Co dla mnie masz, doktor Girard? – zapytał po angielsku, używając żargonu medyków.

– Kolejny przypadek biegunki – odparła, prowadząc do niego kobietę z dzieckiem.

– Zajmę się tym – rzucił i podsunął Charlotte blaszany kubek z parującą kawą. – Najpierw coś na rozruch. Wygląda na to, że ledwie co otworzyłaś oczy. Poradzę sobie sam przez kilka minut.

Uśmiechnęła się, z wdzięcznością wzięła od niego kubek i oburącz uniosła go pod nos. Sam zapach przyspieszył bicie jej serca. Kawa tutaj była gęsta jak syrop, zupełnie inna niż łagodna *petit café* w jej ulubionej paryskiej kawiarni. Cały zespół zdążył się już od niej uzależnić i na wpeł żartem rozważali, czy nie przyjmować jej dożylnie.

Odeszła na bok, by delektować się chwilą spokoju i ciemnym gorzkim napojem.

Jej wzrok zatrzymał się na krępej sylwetce Benjamina Freya, dwudziestotrzyletniego biologa doktoranta z Cambridge. Był w stroju safari, na kasztanowych włosach miał kapelusz z podgiętym rondem, a na nogach białe tenisówki, które w niewytłumaczalny sposób

utrzymywał w idealnej czystości. Jego gwałtowne ruchy oraz tiki mogły wskazywać na autyzm, ale wysokofunkcjonujący. Benjamin potrafił również zagłębić się w jakiś ezoteryczny temat, nie zwracając uwagi na zainteresowanie słuchaczy... lub jego brak.

Podeszła, gdy przykucnął nad szlakiem mrówek i chwycił jedną pęsetą. Ciekawiła ją ta inwazja, najnowsza plaga, która nawiedziła obóz.

Frey spojrzał na Charlotte przez ramię.

– *Dorylus wilverthi* – rzucił, pokazując jej schwytny okaz. – Afrykańska mrówka koczująca. Nazywana *siafu*. Jeden z największych rodzajów rodziny mrówkowatych. Żołnierze, tacy jak ten, mogą osiągać do trzynastu milimetrów długości, a ich królowa pięć centymetrów. Mają tak mocne żuwaczki, że miejscowe plemiona używają ich do zszywania skałeczeń.

Charlotte zauważyła, że młody człowiek zapala się do tego tematu, i przerwała mu.

– Ale skąd się tu wzięły?

– Są uchodźcami, jak wszyscy tutaj. – Opuścił mrówkę na ziemię i wstał. Wycelował pęsetą w kierunku wzburzonej rzeki Tshopo. – Powódź wypędziła je z naturalnych siedlisk.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że niesione przez nurt czarne wyspy nie są stosami szczątków. Były to zwarte tratwy szczepionych ze sobą czerwonych mrówek.

– Dlaczego się nie potopiły? – zapytała.

– To dla nich żaden problem. Potrafią przetrwać cały dzień pod wodą. Mrówki są wytrzymałymi małymi żołnierzami. Istnieją od czasów dinozaurów i skolonizowały każdy kontynent. Z wyjątkiem Antarktydy oczywiście.

Zrobiło jej się niedobrze, zwłaszcza gdy zobaczyła, że jedna z tratw rozbija się o brzeg i fala mrówek wdziera się na ląd. Najeźdźcy działali jednomyślnie, jakby przeprowadzali z góry zaplanowany atak.

– I są niegłupie – dodał Frey. – Jeden osobnik ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy komórek mózgowych. Czyni je to najmądrzejszymi owadami na planecie. Jeśli pomnożymy to przez czterdzieści tysięcy, otrzymamy twór dorównujący nam inteligencją. A pamiętaj, że niektóre superkolonie *Dorylus wilverthi* liczą ponad pięćdziesiąt milionów osobników. Potrafisz to sobie wyobrazić? Wszystkie dowodzone przez królową, która może żyć nawet trzydzieści lat, dłużej niż jakikolwiek inny owad. Więc nie lekceważ ich.

Charlotte nagle pożałowała, że go zagadnęła. Odwróciła się, ale Frey jeszcze nie skończył.

– Dopóki ta armia nie pomaszeruje dalej, powinniśmy spodziewać się wielu ukąszeń. Oprócz sprytu mrówki koczujące mają paskudny charakter, a także odpowiednie uzbrojenie. Ich żuwaczki są twarde jak stal i ostre jak brzytwa. Te mrówki są znane z tego, że podczas marszu pożerają wszystko na swojej drodze. Potrafią zabić spletanego konia i obgryźć go do kości. Albo psy zamknięte w domach. A czasami niemowlęta.

Charlotte z trudem przełknęła ślinę. Jakbyśmy nie mieli dość problemów, pomyślała.

– Kiedy stąd odejdą? – spytała.

Frey zmarszczył czoło i oparł dłonie na biodrach. Obserwował sznury owadów ciągnące od rzeki przez obóz.

– To dziwne – odezwał się po chwili. – Takie zachowanie jest niezwykle. Zazwyczaj mrówki koczujące unikają zamętu, miejsc takich jak to. Wołają trzymać się cienia i dżungli. – Wzruszył ramionami. – Ale ta powódź też jest nietypowa. Może dlatego są wyjątkowo agresywne. W końcu powinny się jednak uspokoić i ruszyć dalej.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Skinął głową, z niepokojem obserwując migrującą kolonię.

– Ja też – rzucił.

Godzina 11.02

Charlotte zaświeciła latarką w oczy trzymiesięcznego niemowlęcia. Chłopczyk spoczywał w ramionach zatroskanej matki. Trzymał kciuk w ustach, ale go nie ssał. Leżał spokojnie; jego plecy były niezwykle sztywne i proste. Rozszerzone źrenice prawie nie reagowały na światło. Gdyby nie unosząca się klatka piersiowa, można by go było wziąć za woskową lalkę. Skóra dziecka miała połysk jak przy gorączce, ale temperatura utrzymywała się w normie.

– Co o tym sądzisz? – zapytała, nie odwracając się.

Cort Jameson stał przy jej ramieniu. Ściągnęła go na konsultację. Skupili się za cienką zasłoną, oddzielającą ich od zatłoczonej części namiotu.

– Wczoraj widziałem podobny przypadek – oznajmił amerykański pediatra. – Nastoletnia dziewczynka. Ojciec powiedział, że przestała mówić i ledwo się porusza, chyba że się ją szturchnie. Zjawiła się z obrzękiem węzłów chłonnych i wysypką na brzuchu. Jak ten chłopiec. Pomyślałem, że to może być trypanosomoza w późnym stadium.

– Śpiączka – mruknęła Charlotte, zastanawiając się nad tą diagnozą. Chorobę wywołuje pasożytniczy pierwotniak przenoszony przez muchy tse-tse. Do wczesnych objawów choroby należą obrzęk węzłów chłonnych, wysypka, bóle głowy i ból mięśni. Później, jeśli pacjent nie jest leczony, choroba atakuje ośrodkowy układ nerwowy, co prowadzi do zaburzeń mowy i trudności w chodzeniu. – Co się stało z tą dziewczynką? – zapytała.

Cort wzruszył ramionami.

– Dałem jej kroplówkę, bo była odwodniona, a potem nafaszerowałem ją doksycykliną i pentamidyną. Uwzględniłem wszystko, co mogłem. Próbowałem nakłonić ojca, żeby ją zostawił, ale odmówił. Później dowiedziałem się, że zwrócił się do szamana ze swojej wioski.

Charlotte usłyszała nutę pogardy w głosie kolegi. Wyciągnęła do niego dłoń, żeby go pocieszyć.

– Jej ojciec też robi, co może – zauważyła.

– Pewnie tak – przyznał.

Nie potępiła ojca dziewczynki za jego decyzję. Wielu szamanów znało ziołowe i mineralne środki leczące różne choroby, leki jeszcze nieodkryte albo niepotwierdzone przez medycynę akademicką. Sama badała kilka z nich. Rdzenni mieszkańcy leczyli grejpfrutami infekcje dróg moczowych na długo przed tym, nim zachodnia medycyna potwierdziła korzyści płynące z cytrusów. Szamani używali *Ocimum gratissimum* – bazylii eugenolowej – w leczeniu biegunki. Charlotte myślała już o tym, że ona i jej koledzy mogliby sięgnąć po tę roślinę, gdyby w obozie skończyły się lekarstwa.

– Nie sądzę, żeby to maleństwo miało śpiączkę – powiedziała, wskazując na niemowlę. – Początkowo, biorąc pod uwagę minimalną reakcję źrenicy i brak odruchu mrugania, uznałam, że to może być ślepotą rzeczna. Ale w jego oczach nie wykryłam tych małych owadów przenoszących pasożyty.

– Więc co to może być według ciebie? – zapytał Cort.

– Jego matka mówi, że dwa dni temu czuł się dobrze. Jeśli się nie myliła, to organizm zareagował zbyt szybko, by w grę mogła wchodzić choroba pasożytnicza. Szybkość wskazuje na wirusa.

– Z pewnością ich tutaj nie brakuje. Żółta febra, AIDS, chikungunya, denga, gorączka doliny Rift, gorączka Zachodniego Nilu. Nie wspominając o wszelkiego rodzaju wirusach ospy. Ospa małpia, ospa wietrzna...

– Nie wiem. Objawy nie pasują do żadnej z tych chorób. Nie wykluczone, że mamy do czynienia z czymś nowym. Większość nowych wirusów powstaje w wyniku zakłócania środowiska naturalnego. Budowa dróg, wycinanie lasów, spożywanie mięsa dzikich zwierząt... wszystko to odgrywa rolę. – Charlotte spojrzała

na amerykańskiego kolegę. – Również ulewne deszcze, zwłaszcza w przypadku wirusów przenoszonych przez komary i inne owady.

Jakby na potwierdzenie tych domysłów po rączce niemowlęcia wspięła się na jego szyję duża mrówka. Pocięła krew, gdy jej zuwaczki przecinały delikatną skórę. Charlotte wiedziała już, jak bolesne są takie ukąszenia, ale dziecko ani drgnęło. Nie wysunęło kciuka z buzi, żeby krzyknąć. Nawet nie mrugnęło z zaskoczenia. Leżało sztywno i patrzyło w pustkę matowymi oczami.

Spojrzała na chłopczyka współczująco, po czym sięgnęła dłonią w rękawicze do jego szyi i złapała mrówkę. Ścisnęła ją mocno i odrzuciła.

Cort Jameson ze ściągniętymi brwiami obserwował Charlotte.

– Módlmy się, żebyś nie miała racji, żeby nie był to jakiś nowy wirus – powiedział. – Przeludnienie, przesiedlenia, migracje...

To może oznaczać nadciągającą katastrofę, pomyślała.

– Może powinniśmy zaostrzyć procedury bezpieczeństwa, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej – zasugerowała. – Na razie pobiorę próbki krwi i moczu.

Cort zmrużył oczy.

– Nie wiem, czy to coś da. Biorąc pod uwagę panujący tu chaos, miną tygodnie, zanim będziemy mogli dostarczyć je do laboratorium z prawdziwego zdarzenia.

A wtedy może być już za późno, przemknęło jej przez głowę.

– Ale mam przyjaciela w Gabonie – dodał Cort. – Jest weterynarzem. Zajmuje się dzikimi zwierzętami i pracuje dla Programu Zdrowia Globalnego, prowadzonego przez Smithsonian. Ścisłej mówiąc, uczestniczy w nowym projekcie o nazwie Wirion. Zbiera próbki, by pomóc grupie naukowców w odkrywaniu nowych wirusów i tworzeniu sieci kontroli genomowej nad patogenami o potencjale pandemicznym. A najważniejsze jest to, że ma własne mobilne laboratorium. Jeśli złapiemy go przez radio i przekonamy, by tu przyleciał...

Spojrzał na Charlotte, pytając ją wzrokiem o sensowność takiego przedsięwzięcia.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, od wejścia do namiotu medycznego dobiegły pełne paniki podniesione głosy. Oboje wyszli z za zasłony. Do namiotu wpadło dwóch mężczyzn z noszami. Ich koleżanka, czterdziestoletnia ginekolożka z Melbourne, pospieszyła do nich, lecz zaraz cofnęła się wystraszona.

Cort ruszył w ich stronę, a Charlotte za nim.

Jednym z mężczyzn był kongijski żołnierz FARDC – armii Demokratycznej Republiki Konga – a drugim szwajcarski ratownik medyczny, który robił obchód wokół obozu. Szwajcar, wysoki blondyn, miał jasną cerę odporną na opalanie. Teraz jego twarz zbieła jeszcze bardziej.

Dyszał, opuszczając nosze na podłogę.

– Zna... znalazłem go na skraju obozu. Było jeszcze czterech innych. Wszyscy martwi. Zostali napadnięci. Tylko on jeszcze żyje.

Charlotte wychyliła się z za pleców Corta Jamesona i zobaczyła zmasakrowaną ofiarę. Starszy czarny mężczyzna podejmował wysiłki, żeby usiąść. Krew przesiąkała przez jego skąpe ubranie i spływała po strzępach skóry. Połowa jego twarzy była kłębem czerwonych mięśni i odsłoniętych białych kości. Wyglądał jak poszarpany przez lwa, ale prawdziwi sprawcy tego ataku byli znacznie mniejsi.

Mrówki nadal kursowały w jego krwi i zagrzebywały się w żywym ciele.

– Znaleźliśmy go pod górą mrówek – wyjaśnił ratownik medyczny. – Zjadały go żywcem. Polewaliśmy go wodą z wiader, żeby je zmyć.

– Dlaczego ten człowiek po prostu przed nimi nie uciekł? – zapytał Cort. – Stracił przytomność? Może jest pijany? – Przyklęknął, żeby zbadać zakrwawionego pacjenta.

Ten w końcu zdołał usiąść. Otworzył usta, jakby chciał wyjaśnić, co go spotkało. W tym momencie z jego gardła wylał się czarny

potok mrówek i spłynął po brodzie i klatce piersiowej. Ciało mężczyzny zwiotczało i opadło bezwładnie na nosze.

Cort odskoczył ze stłumionym okrzykiem.

Charlotte przypomniała sobie ostrzeżenie biologa: „powinniśmy spodziewać się wielu ukąszeń”. Wyobraziła sobie to, co opisał: jak mrówki atakują i pożerają spętanego konia. Spojrzała tam, gdzie wcześniej badała niemowlę. Stała tam kobieta trzymająca zeszywniałego synka, zbyt otępiełego, by zareagować na ugryzienie mrówki.

Nagle stwierdziła, że ma kłopoty z oddychaniem, jakby powietrze stało się cięższe. Wezbrała w niej przerażająca pewność. To wszystko jest jakoś połączone, pomyślała. Odwróciła się i złapała Corta za ramię.

– Skontaktuj się ze swoim przyjacielem, tym łowcą wirusów. Natychmiast.

Przez chwilę tylko na nią patrzył, jakby strach osłabił jego władze umysłowe. Potem zamrugał, by otrząsnąć się z szoku, i skinął głową. Wybiegł i ruszył w stronę namiotu łączności, wyróżniającego się szeregiem anten satelitarnych.

Charlotte wciąż stała z uniesioną ręką. Nagle spojrzała na nadgarstek i zobaczyła na nim trzy czarne mrówki, wczepione w jej skórę tuż nad rękawiczką. Ich żuwaczki tkwiły głęboko w ciele. Zmroził ją strach, i to wcale nie z powodu tego ataku. Przeraziło ją to, co nagle sobie uświadomiła.

Nie poczuła ani jednego ukłucia.

2

Prowincja Ogooué-Maritime, Gabon

23 kwietnia, godzina 17.38 czasu miejscowego

Głęboko pod ziemią Frank Whitaker patrzył w dwoje czerwonych oczu, w których odbijało się światło latarki na jego kasku. Oczy jarzyły się w głębi tunelu, tuż nad powierzchnią czarnego strumienia, w którym brodził. Serce ścisnął mu pierwotny strach. Ostrzegano go przed drapieżnikami czającymi się w tym na wpół zalanym systemie jaskiń.

Krokodyle...

Wcześniej dostrzegł kilka mniejszych, nie dłuższych niż jego ręka, ale czmychnęły, machając ogonami. Ten tutaj nie był jednym z nich. Frank widział pancerz za jarzącymi się ślepiami. Zwierzę miało prawie dwa metry długości. Zwrócił uwagę na pomarańczowy odcień łusek, typowy dla krokodyli uwięzionych w tych jaskiniach. Miał przed sobą przedstawiciela *Osteolaemus tetraspis*, afrykańskiego krokodyla krótkopyskiego. Patrząc na jego paszczę, powątpiewał w trafność tego określenia.

Kiedy trzy tysiące lat temu opadł poziom wody, krokodyle zostały uwięzione w jaskiniach Abanda w pobliżu wybrzeża Gabonu i z pokolenia na pokolenie żyły w izolacji. W tym pozbawionym słonecznego światła surowym środowisku powoli oddalały się od swoich ewoluujących braci na górze.

Jako weterynarz Frank był tym zafascynowany. Ale wołałby przebywać w większej odległości od tych gadów.

– Są prawie ślepe – zapewnił go Remy Engonga, rodowity Gabończyk, patolog z CIRMF* w południowo-wschodnim Gabonie. Placówka ta odgrywała kluczową rolę w ocenianiu chorób pojawiających się w Afryce Zachodniej. – Zrób trochę hałasu i malec czmychnie.

– Malec? – rzucił Frank głosem stłumionym przez maskę.

– *Oui*. Na górze mamy znacznie większe krokodyle.

Frank pokręcił głową. Dla mnie ten jest wystarczająco duży, pomyślał. Mimo to uwierzył patologowi na słowo, że ten gad jest ślepy. Odpiął od paska aluminiową manierkę i uderzając nią w skalną ścianę, ryczał na całe gardło. Krokodyl nadal się na niego gapił, jakby wysiłki Franka nie robiły na nim wrażenia. W końcu obrócił cielsko, odplynął niespiesznie i znikł w ciemności.

Gdy droga została odblokowana, ruszyli dalej. W tym obcym środowisku Frank czuł się jak astronauta eksplorujący wrogą planetę. Wrażenie to potęgował okrywający go od stóp do głów strój ochronny. Miał na sobie kombinezon MicroGuard z kapturem i nogawkami spodni wpuszczonymi w wodery. Plastikowe gogle chroniły jego oczy, a maska filtrowała zarówno gęste od amoniaku powietrze, jak i kłębiące się wokół chmary komarów i muszek.

W końcu opuścili strumień i brnęli przez grząskie błoto, składające się głównie z guana nietoperzy. Spod stropu zwisały stada skrzydlatych mieszkańców jaskiń, inne wirowały i tańczyły w powietrzu, od czasu do czasu bombardując intruzów. To nagromadzone guano nietoperzy wybielało łuski krokodyli, nadając im wyjątkowy pomarańczowy odcień. A krokodyle, odizolowane w zupełnej ciemności, żywiły się nietoperzami, urozmaicając dietę krabami jaskiniowymi, świerszczami i glonami.

* CIRMF – Centre International de Recherches Médicales de Franceville (Międzynarodowe Centrum Badań Medycznych).

- Daleko do pułapek?! – zawołał Frank do Remy’ego.
- Prawie jesteśmy na miejscu. Są za następnym przewężeniem. Uznałem, że to najlepszy punkt na rozpięcie siatki.

Remy i kilku członków jego zespołu z CIRMF byli na tyle uprzejmi, że poprzedniego dnia zastawili pułapki. Frank chciał pobrać próbki od każdego występującego tu gatunku nietoperzy: zjawy płowej, płatkonosy olbrzymiego i kilku innych. To właśnie nietoperze były naturalnymi rezerwuarami wirusów Ebola i Marburg. Frank miał nadzieję skatalogować całą gamę wirusów przenoszonych przez mieszkańców tej jaskini i szukać patogenów, które mogłyby wywołać kolejną wielką pandemię.

Przebywał w Afryce od pół roku; podróżował po Kongu i przybrzeżnej Afryce Zachodniej. Do tej pory zebrał ponad piętnaście tysięcy próbek.

Gdy brnął w stronę pułapek, ogarnęło go zdumienie, że tu jest. Przywiodła go tutaj dziwna ścieżka: od czarnego adoptowanego dziecka mieszkającego na South Side w Chicago do weterynarza zajmującego się dzikimi zwierzętami w systemie jaskiń w Gabonie. Jego miłość do świata przyrody zrodziła się z próby ucieczki przed mrozem chicagowskich zim i upałami wilgotnego lata. Gdy żył na ulicy, często szukał schronienia w Parku Lincolna albo w ogrodzie zoologicznym w Brookfield czy w oceanarium Shedd. Godzinami czytał i zapamiętywał treść tabliczek informacyjnych, marząc o opisanych na nich tajemniczych zakątkach świata. Wszystko to wydawało się obce czarnemu chłopcu w za dużej o dwa numery kurtce i podartych dresowych spodniach.

I spójrzcie, gdzie teraz jestem, pomyślał, brodząc w błocie.

Jego zdolności do przedmiotów ścisłych sprawiły, że kiedy był w liceum, zainteresował się nim rekruter z armii, z Korpusu Szkoleniowego Młodych Oficerów; wysoki wzrost pewnie też odegrał jakąś rolę. W grupie Frank radził sobie na tyle dobrze, że pełen pochwał list polecający zapewnił mu stypendium w lokalnym college’u.

Później został objęty programem stypendialnym dla przyszłych lekarzy wojskowych i armia opłacała jego studia na Wydziale Weterynarii Uniwersytetu Illinois. Jeszcze jako student otrzymał stopień podporucznika, co wprawiło w dumę jego adopcyjnych rodziców.

Nie znał biologicznej matki i biologicznego ojca i nigdy nie próbował dociekać, dlaczego go zostawili, ale należał do szczęśliwców. Wychowywał się w trzech rodzinach zastępczych – albo niedbających o niego, albo pełnych najlepszej intencji – i w końcu trafił do Whitakerów. Ich miłość stała się kotwicą, która ustabilizowała przepełnionego goryczą chłopaka, coraz dzikszego, dryfującego ku ulicom, coraz dalej od społeczeństwa, które już go odrzuciło.

Po zrobieniu licencjatu i kilkutygodniowym szkoleniu w armii awansował do stopnia kapitana, a przed przydziałem przeszedł kolejne szkolenie. Zobowiązany do siedmiu lat służby, trafił w sam środek wojny w Iraku, gdzie zbierał materiały do pracy magisterskiej z dziedziny zdrowia publicznego i pracował w terenie, zajmując się chorobami odzwierzęcymi. Wojna pozbawiła go jednak złudzeń, zarówno co do stanu świata, jak i kondycji ludzkości.

Po powrocie do Stanów przez pewien czas pracował w wojskowym ośrodku badań biomedycznych, ale wytrzymał tam tylko rok. W końcu odszedł ze służby i został zatrudniony przez Program Zdrowia Globalnego, organizację non profit, która bierze pod lupę pojawiające się zagrożenia wirusowe. Dostał grant na wyjazd do Afryki, gdzie miał skatalogować jak najwięcej wirusów i szukać tego, co jeden z biologów nazwał niebezpieczną wirusową ciemną materią ukrytą w dalekich zakątkach świata.

– Wygląda na to, że mamy wielu ochotników – stwierdził Remy, gdy zrównał się z Frankiem.

Wskazał siatkę rozpiętą w poprzek przewężenia tunelu. Wpływały się w nią ciemne kształty, zwisające jak grona kosmatych owoców: killkanaście nietoperzy różnej wielkości. Niektóre szamotały się, gdy podchodzili.

– Spokojnie, maluchy – powiedział Frank. – Nie chcemy was skrzywdzić.

Zdjął plecak i przyklęknął. Szybko przygotował strzykawkę z uspokajającym koktajlem acepromazyny i butorfanolu, po czym nałożył grube gumowane rękawice. Nie chciał ryzykować, że zostanie pogryziony. Ze strzykawką w dłoni zaczął od góry i robił zastrzyki kolejnym nietoperzom. Dostosowywał dawki do ich wielkości; najmniejszym wstrzykiwał nie więcej niż kropelkę. Zanim dotarł do dolnej części siatki, te wiszące najwyżej już usypiały.

– Pomożesz mi odpiąć sieć? – zwrócił się do Remy’ego.

Usunęli ją, otwierając przejście. Kilka nietoperzy skorzystało z okazji i przemknęło nad ich głowami. Po rozłożeniu sieci i drzejących okazów na błotnistym podłożu Frank wrócił do plecaka i wyjął sprzęt do pobierania próbek.

No to do roboty.

Godzina 18.28

Frank klęczał wśród zapieczętowanych wacików, igieł i szklanych pipetek. Pot spływał mu po czole i wzmagał pieczenie oczu po drażnionych amoniakalnymi wyziewami guana.

Może powinienem był zabrać respirator.

Pracował szybko, uważając, żeby nie zanieczyścić próbek. Zajmował się wielkim płaskonosem, *Hipposideros gigas*. Remy rozpostarł skrzydło, by ułatwić koledze pobranie krwi. Potem Frank użył dwóch wymazówek do pobrania próbek z jamy ustno-gardłowej i odbytu nietoperza.

Przyglądał się delikatnemu stworzeniu. Dzwonkowate uszy były miękkie jak aksamit. Nozdrza wyglądały jak miniaturowe wachlarze. Błona skrzydeł była tak cienka, że przeświecało przez nie światło latarki na kasku Remy’ego.

Remy pochylił się do Franka.

– Dlaczego właściwie koncentrujesz się w badaniach tylko na nietoperzach?

Frank wyprostował się i opisał ołówkiem probówkę.

– Zasadniczo dlatego, że są futrzanymi workami pełnymi wirusów – odparł. – Są nie tylko naturalnym siedliskiem setek gatunków, ale także wielkimi rezerwuarami wirusów środowiskowych. Te, które posilają się owadami, zjadają wszelkiego rodzaju arbowirusy, a te owocożerne wirusy roślinne. Po czym przekazują je dzikim zwierzętom... i ludziom. Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli zbadać wiroferę każdego kręgowca, bezkręgowca i wszystkich roślin. Ale to niepraktyczne i właściwie w ogóle niemożliwe. Nietoperze są doskonałymi probierzami tego, co czai się w całym środowisku.

– Rozumiem. Ale zawsze zastanawiałem się, dlaczego przy swojej ekspozycji na wirusy nietoperze nie chorują.

Frank położył płaskonosą na ziemi i zabrał się do wyplątywania z siatki innego okazu. Kształt i rozmiar sugerowały, że to owocożerny *Rousettus aegyptiacus*.

– Z trzech przyczyn. Po pierwsze, nietoperze są supergwiazdami, jeśli chodzi o układ odpornościowy. Badania sugerują, że wykształciły go dzięki temu, że są jedynymi ssakami latającymi. – Rozpostarł duże skrzydło, wbił igłę w żyłę i spuścił kilka kropli krwi do pipetki. – Osiągnięciu tej cudownej odporności sprzyja metabolizm z hipernapędem. Metaboliczne ciepło sprawia, że małe ciała nietoperzy osiągają na tyle wysoką temperaturę, że pomagają one powstrzymać infekcje. – Frank odłożył pipetkę i wziął wacik. – Drugą przyczyną, ważniejszą, jest to, że za sprawą przyspieszonego metabolizmu wytwarzają mnóstwo niebezpiecznych cząsteczek wywołujących stany zapalne, które mogą być zabójcze. Żeby temu przeciwdziałać, w ewolucyjnej przeszłości nietoperze osłabiły część genów i w ten sposób powstrzymały swój układ odpornościowy przed nadmierną odpowiedzią immunologiczną, tak zwaną burzą

cytokin, która odpowiada za większość zgonów wywołanych wirusami. Poza tym stany zapalne są główną przyczyną starzenia się, więc ich tłumienie wyjaśnia, dlaczego nietoperze żyją do czterdziestu lat. Niezwykle długo jak na tak małe ssaki.

Gdy Frank podniósł wymazówkę, Remy pomógł mu otworzyć maleńkie szczęki, odsłaniając ostre jak igły kły.

– Powiedziałeś, że są trzy przyczyny odporności nietoperzy na choroby – przypomniał koledze. – Jaka jest trzecia?

– Ach, żeby uzyskać odpowiedź na to pytanie, trzeba spojrzeć na DNA nietoperzy. Większa część ich kodu genetycznego, jak zresztą i naszego, zawiera fragmenty prastarego kodu wirusowego, fragmenty DNA włączone do ich genomu podczas wcześniejszych infekcji. Nietoperze wykorzystują je w wyjątkowy sposób. Mogą je dzielić, włączać w swoją cytoplazmę komórkową i zamieniać je w fabryki przeciwciał.

– Dzięki czemu są zdrowe – skwitował Remy i ze smutkiem pokręcił głową. – Gdybyśmy my, ludzie, mogli zrobić to samo... Mój zespół wciąż walczy z ogniskami eboli w Afryce Zachodniej. Gdy tylko zgasimy jedno, pojawia się następne.

Frank ponuro skinął głową. Odłożył nietoperza owocożernego i przeszukał sieć. Była już pusta.

– Wygląda na to, że zabrakło nam ochotników – powiedział.

– I dobrze – rzucił Remy. – Niedługo zajdzie słońce. Powinniśmy wracać.

Frank przyznał mu rację. Nie miał ochoty wędrować do obozu po ciemku.

Razem sprzątnęli miejsce pracy. Frank spakował ostatnie próbki, a Remy zwinął siatkę. Odeszli, zostawiając obiekty swoich badań, by obudziły się i wróciły do kryjówek.

Kiedy pierwsze wzbily się w powietrze, Frank obejrzał się.

– Lepiej się stąd wydostać, zanim reszta rozwinie skrzydła.

– Dlaczego? – spytał Remy.

– Nietoperze świetnie sobie radzą z utrzymywaniem wirusa w ryzach, ale strach załamuje ich skomplikowany układ odpornościowy. Wirusy namnażają się, co sprawia, że nietoperze stają się wirusowymi bombami. – Frank spojrział na kolegę. – Zapamiętaj to: zestresowany nietoperz jest niebezpiecznym nietoperzem.

– Będę o tym pamiętać – obiecał Remy i przyspieszył kroku. Co jakiś czas oglądał się ze zmartwionym wyrazem twarzy.

Szybko dotarli do zalanej części jaskini. Brodząc w kierunku wyjścia, Frank czujnie wypatrywał jarzących się czerwonych ślepi. Nie dostrzegł ani jednej pary. Najwyraźniej zamieszanie i hałas wypłoszyły krokodyle do głębszych części systemu jaskiń.

– Co dalej? – zapytał Remy, wskazując głową na jego plecak. – Co zrobisz z tymi próbkami?

– Zabiorę je do mobilnego laboratorium w moim obozie. Mogę przeprowadzić wstępną analizę przez amplifikację PCR. Porównam sekwencje wirusowych antygenów z genetyczną bazą danych. Pomoże mi to w katalogowaniu znanych wirusów. Opracowałem również zestaw odczynników i starterów do identyfikacji tych nieznanych. To prymitywna metoda, ale stosując SISPA, amplifikację pojedynczego startera, mogę dołączyć krótkie fragmenty DNA o znanej sekwencji do tych o nieznannej i...

– Wierzę – przerwał koledze Remy, unosząc rękę.

Frank uśmiechnął się.

– Przepraszam. To najlepsze, co mogę zrobić w terenie. Idealne byłoby oczywiście wyhodowanie któregośkolwiek z tych nieznanych wirusów w kulturze komórkowej, ale coś takiego można robić tylko w laboratorium o najwyższym poziomie bezpieczeństwa biologicznego. Na przykład w tym, które macie w swoim ośrodku badawczym we Franceville.

Zazdrościł Remy'emu i jego ekipie z CIRMF, którzy mieli zarówno laboratorium prymatologiczne, jak i laboratorium klasy czwartej. Gdybym tylko mógł z niego skorzystać, pomyślał.

Remy widocznie czytał w jego myślach.

– Jestem pewien, że gdybyś znalazł coś szczególnie intrygującego, moglibyśmy pójść ci na rękę i umożliwić zbadanie wyizolowanego wirusa – powiedział. – Zwłaszcza w przypadku próbek z Afryki Zachodniej. Lepiej wiedzieć, co tu jest, zanim stanie się to problemem.

– Dlatego jestem w Afryce. Poza tym chcę się przekonać, ile razy trzeba zostać ukąszonym przez komary, żeby popaść w szaleństwo.

Remy uniósł brew.

– To jedna z zagadek, którą z pewnością rozwikłasz. Zwłaszcza przy ulewach przechodzących przez ten obszar.

– Prawda. – Frank zerknął przez ramię na ciemną wodę za sobą. – Może przez deszcze i powodzie te biedne krokodyle wrócą do słonecznego świata.

Remy wskazał przed siebie.

– W tej chwili sam z przyjemnością się stąd wyniosę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).